

Tajemnica

18 września 2016

Urodziłem się w Ostrołęce nad samą Narwią. W latach pięćdziesiątych było to małe, uroczne miasteczko. Wszędzie było blisko. I do sklepów ulokowanych w starych kamieniczkach, na targ i do kościoła. Ale dla mnie najważniejsza była Narew. Ta rzeka odmierzała rytm życia. Od wiosennych gwałtownych powodzi do letnich kąpiei, jesiennych mgieł snujących się nad wartką wodą i czasu, kiedy mróz skuwał ją grubym lodem.

Dlatego kiedy wprowadziliśmy się do nowego, jeszcze nie wykończonego domu pod Warszawą, nie byłem szczęśliwy. Tęskniłem za ludźmi radosnego dzieciństwa, za brukiem uliczek swojego miasta, a nade wszystko za błękitną moją Narwią. Wiele dziecięcych łez wylałem wieczorami w poduszkę, aż wreszcie musiałem pogodzić się z rzeczywistością i zacząłem szukać uroków nowego miejsca zamieszkania.

Szybko odkryłem staw na końcu pobliskiej łąki, w którym co prawda nie było ryb jak w ukochanej Narwi, w którym jedynie wiosną kumkały żaby, ale za to można było łapać trytony do słoja zwędzonego mamie.

Codziennie też widywałem z daleka bryłę Pałacu Kultury z jego złotą iglicą, lśniąca w promieniach słońca jak legendarna latarnia aleksandryjska, wskazująca podróżnym właściwy kierunek. Pałac jawił mi się jako budowla niezwykle piękna, uosobienie ludzkich możliwości. O, jakże wtedy chciałem zostać murarzem i wybudować jeszcze większy i piękniejszy budynek.

Szybko też zaprzyjaźniłem się z Lenką, rówieśniczką z sąsiedztwa. Państwo Kwatkowie mieszkali w małym parterowym domku stojącym w wielkim ogrodzie wśród starych, pięknych drzew. Tuż przy furtce rósł wysoki rozłożysty kasztanowiec, a w ogrodzie kilka potężnych drzew czereśniowych. Były też grusze, jabłonie i śliwy, ale już mniej dorodne, jakby

zaniedbane i zdziczałe, chociaż bardzo płodne i dające bardzo smaczne owoce. Większość sadu porastała wysoka bujna trawa, wśród której błędziliśmy jak w stepie. W ogrodzie była też prawdziwa, wkopana w ziemię piwnica obłożona ziemią i porośnięta trawą, wyglądająca w tym stepie jak prawdziwy kurhan.

To był nasz dziecięcy, tajemniczy ogród. Tu zawsze można było znaleźć coś ciekawego. Raz była to rodzina jeży, innym razem gniazdo szerszeni, przed którymi należało umykać co sił w nogach, a jeszcze kiedy indziej udało się podejrzeć harujące kuny domowe.

Między domkiem, a ogrodem stał murowany budynek gospodarczy. I właśnie ta mała budowla była bardziej zagadkowa niż wszystko wokół. Okratowane okno z zamalowaną szybą, przez którą nie można było zajrzeć, i zawsze zamknięte na skobel z ogromną kłódką dębowe drzwi. Nikt nigdy ich nie otwierał. Przed progiem wysiał się dziki bez i rósł coraz wyżej i szerzej, broniąc dostępu do tajemnicy. Dopiero po kilku latach, kiedy państwo Kwatkowie wyprowadzili się do swojego domu, przyjechała prawdziwa właścicielka posesji, pani Krajewska. Była ciepła wiosna tuż przed Wielkanocą. Pani Krajewska przystąpiła do porządków, by wynająć domek innym lokatorom. Wtedy też, po raz pierwszy od wielu lat, został otworzony budynek gospodarczy.

Ileż tam było skarbów! Stare przedwojenne gazety i czasopisma, książki – można powiedzieć cały antykwariat. Wszystko to nie było już starszej pani potrzebne, a nie chcąc wyrzucać tych skarbów, przekazała mojej mamie. Ja dostałem cały worek banknotów, będących w obiegu w czasie wojny i przed nią, a nawet za czasów carskich. Najwięcej było polskich marek, które liczyliśmy z dziećmi całymi dniami, aż nauczyliśmy się rachunków w milionach i miliardach. Byłem bogaty...

Jednak największym skarbem jaki przytaskałem od pani Krajewskiej okazał się stary patefon z przepiękną, lśniąca w

kwietniowym słońcu tubą. A i płyt było co niemiara. Wielkie i ciężkie, z nagraniem muzyką, której już nie sposób posłuchać z radia, a tym bardziej zażydzonej telewizji promującej satanistyczne wrzaski mające niewiele wspólnego z prawdziwą muzyką. Skarbów od pani Krajewskiej przynieśliśmy dużo, ale najbardziej wprawiły nas, dzieciaki, w zdumienie konserwy z paczek unrowskich (UNRA – agenda ONZ zajmująca się niesieniem pomocy krajom najbardziej poszkodowanym przez wojnę).

Mimo kilkunastu lat jakie przeleżały, okazało się, że mięso w nich zawarte nadal zachowało świeżość. Nasz Pikuś miał wyżerkę przez wiele tygodni i później, kiedy zapas się wyczerpał, nie chciał jeść ani zupy ani kaszy.

Podczas gdy pomagaliśmy pani Krajewskiej robić wiosenne, przedświąteczne porządki, my dzieciaki z sąsiedztwa, opowiadaliśmy o jej własnym tajemniczym ogrodzie. Natomiast starsza pani, uśmiechając się ze zrozumieniem, umiejętnie kierowała rozmową na temat nadchodzących Świąt. Uświadomiła nam, że nie ma większej tajemnicy na świecie niż tajemnica zmartwychwstania Chrystusa.

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Patriota-Tarkowski.blogspot.com